

Dezubekizacja przed sądem

8 października 2021

Przypominanie tego staje się nużące zarówno dla piszącego jak i zapewne dla czytelników, ale prawda historyczna ma swoje wymagania – oto mijają już 3 lata i 9 miesięcy nieustannego rozpoznawania przez Trybunał Konstytucyjny pani mgr Julii Przyłębskiej tzw. ustawy „dezubekizacyjnej” z grudnia 2016 r.

Co prawda pani prezes już ponad rok temu oficjalnie ogłosiła, że zakończyła procedowanie i pozostało jedynie ogłoszenie wyroku, ale oczywiście okazało się to zwykłą „ściemą”. Temat po prostu zniknął z wokandy i nie widać szansy, aby w jakimkolwiek przewidywalnym terminie została wydana jakakolwiek decyzja. Gdyby ktoś nie był pewien, to można dodać, że powyższe dzieje się w „demokratycznym państwie prawa”, zaś partia, która desygnowała panią magister na jej zaszczytne stanowisko, nosi równie chwalebny nazwę – Prawo i Sprawiedliwość. Natomiast bardziej bulwersujące jest tu nie samo kompromitowanie się upartyjnionego Trybunału, ale fakt, że nie robi to już żadnego wrażenia na obserwatorach i komentatorach życia publicznego – po prostu „grupa trzymająca władzę” tyle razy demonstrowała swój żałosny poziom moralny, że jeden blamaż więcej niczego nie zmienia.

Gdy sobie uzmysłowimy dzisiejszy stan polskiego wymiaru sprawiedliwości, zwłaszcza poziom zarządzającego nim ministra/prokuratora generalnego i wspomagającej go ekipy, a także jakość Trybunału pani Przyłębskiej oraz stopień upolitycznienia Krajowej Rady Sądownictwa, to musimy wyrazić słowa najwyższego uznania ogromnej większości polskich sędziów, którzy w tych warunkach zachowują godność i realizują misję ostatnich strażników prawdziwego prawa i prawdziwej sprawiedliwości w naszym kraju. Z podziwem można odnotować nie tylko, że w absolutnie przeważającej liczbie spraw „dezubekizacyjnych” wydają po prostu uczciwe wyroki, ale zdarzyły się także przypadki, gdy w czasie rozpraw

przepraszałi za państwo, które tak podle skrzywdziło ludzi całymi latami służących mu z narażeniem życia. Jednocześnie sytuacja w jakiej sędziowie ci muszą wydawać wyroki jest niezwykle trudna także z innych powodów.

Ustawa „dezubekizacyjna”, efekt haniebnej operacji propagandowej PiS-u, w sposób oczywisty nie zachowuje podstawowych standardów prawnych, ale jest aktem formalnie obowiązującym. Spróbowała go „ucywilizować” uchwała Sądu Najwyższego z września 2020, przypominająca o zakazie stosowania odpowiedzialności zbiorowej oraz o konieczności osądzania wyłącznie konkretnych czynów poszczególnych osób. Kierując się tym wskazaniem wielu sędziów stara się ustalić, czy stojący przed nimi rzeczywiście dopuścili się jakichś przestępstw, łamania prawa lub chociaż niecných czynów. W zasadzie głównymi oskarżycielami lub chociaż świadkami oskarżenia powinni być ludzie poszkodowani ich działalnością w czasach PRL, ale problem jest w tym, że nikt taki się nie zgłasza, a nieliczne osoby, które ucierpiały niegdyś z powodów politycznych, złożyły skargi ponad ćwierć wieku temu i z reguły otrzymały satysfakcję oraz stosowne odszkodowania. Drugim dostarczycielem dowodów powinien być IPN, który ma całość materiałów dotyczących wszelkich służb przed 1989 r., ale jak się okazuje, tam również nie ma niczego faktycznie obciążającego represjonowanych i stanowisko Instytutu sprowadza się do formalnego wskazania miejsca służby oraz jakichś propagandowych ogólników o „służeniu państwu totalitarnemu”.

Wobec takich „mocnych” materiałów jedynym źródłem przydatnej wiedzy dla sądu pozostają sami represjonowani. To oni muszą szczegółowo opowiadać o swej pracy w poprzednim ustroju, a stoją nierzadko przed stosunkowo młodymi sędziami, znającymi PRL i jego realia tylko z uprawianej od trzydziestu lat czarnej propagandy tamtego systemu. Najmniejsza więc wzmianka, że ktoś uczestniczył w jakichkolwiek działaniach wobec t. zw. „demokratycznej opozycji”, czy też, nie daj Boże, wobec

kościół, może być uznana za pogrążający dowód. Znaczy to, że każdy kto wówczas próbował przeciwdziałać np. pedofilii wśród księży katolickich, lub też zapobiegał aktom terroru, jakie rzadko, ale jednak czasami próbowali stosować skrajni antykomuniści (np. bomby w Opolu i Nowej Hucie, materiały wybuchowe Solidarności Walczącej, zabójstwo sierżanta Karosa, itp.), okazuje się zbrodniarzem zasługującym na potępienie i ukaranie. Wobec tego warto, aby sądy spojrzały na dzisiaj rządzącą ekipę, chociażby na kłamstwa Morawieckiego, smoleńskie gry Macierewicza czy cynizm Kaczyńskiego i oceniły czy dawna opozycja demokratyczna była tak kryształowa, jak się dzisiaj ją przedstawia i czy przypadkiem również wtedy kłamstwa i prowokacje nie były sposobem działania przynajmniej niektórych jej działaczy. Przykładem ilustrującym złożoność problematyki mogą być okoliczności niedawnego wprowadzenia na ekrany filmu „Żeby nie było śladów” o śmierci Grzegorza Przemyka w 1983 r. Zmarł on w wyniku pobicia w warszawskim komisariacie, przy czym jest oczywiste, że milicjanci, którzy w tym uczestniczyli, nie mieli zielonego pojęcia, iż jest on synem znanej poetki – opozycjonistki. Tragiczna ironia losu sprawiła, że w okresie premiery filmu w Polsce odnotowano co najmniej trzy (nie licząc wcześniejszych) przypadki śmierci osób zatrzymanych przez funkcjonariuszy policji. Oczywiście policja państwowa próbuje teraz różnymi sposobami zrzucić z siebie odpowiedzialność, ale czyni to całkiem podobnie i równie mało skutecznie jak milicja obywatelska w 1983 r. Mało jest jednak prawdopodobne, aby te zabójstwa zostały potraktowane za godne sfilmowania dowody na brutalność i dyktatorskie zapędy dzisiejszej władzy – co zbrodnia komuny, to zbrodnia komuny, a nie jakieś tam fatalne przypadki w demokratycznym państwie prawa.

Tak czy inaczej okazuje się, że jedyną drogą zdobycia materiałów obciążających stojących przed sądami represjonowanych, jest ich samooskarżenie się. Sędziowie oczywiście wiedzą, że samooskarżenie, o ile nie jest poparte innymi dowodami, nie powinno być wystarczające dla wydania

negatywnych wyroków (reguła wywodząca się jeszcze z rzymskiego prawa), ale czy ktoś w dzisiejszym Ministerstwie Sprawiedliwości jest w stanie pojąć takie subtelności?

Zdarzają się natomiast, na szczęście bardzo rzadko, również tacy sędziowie, którym nawet samooskarżenie nie jest potrzebne. Dla kariery, nagród i apanaży i tak zawsze wydają oni wyroki w pełni zgodne z oczekiwaniem dzisiejszej władzy. Represjonowani, którzy nigdy w życiu nie popełnili przestępstwa, ale mieli wyjątkowego pecha trafić na takich reprezentantów prawa i sprawiedliwości aż w dwóch instancjach sądowych, nadal nie powinni się poddawać. Mogą składać kasację do Sądu Najwyższego lub skargi do Trybunałów Europejskich (wartościowe wskazówki na stronie internetowej Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych), ale nie tylko – istnieje jeszcze droga powództwa cywilnego.

Państwo Polskie przez kilkadziesiąt lat trzymało dziesiątki tysięcy ludzi w fałszywym przekonaniu, że służąc mu wypracowują sobie godziwe emerytury lub renty. Gdyby nie to, każdy z represjonowanych, kontynuujący służbę po 1989 r. mógł całkiem inaczej pokierować swym życiem i pracą zawodową. Teraz okazuje się, że władza użyła cynicznego oszustwa (nawet ustawowo gwarantując w 1994 r. stosowne świadczenia), którego celem było wykorzystanie dla swoich potrzeb wieloletniej ciężkiej pracy i zaangażowania dużej grupy ludzi, ich wiedzy, doświadczenia, a także zdrowia fizycznego i psychicznego, za które obecnie nie ma zamiaru wynagradzać. W ocenie dobrej klasy prawników takie skargi cywilne z żądaniem znacznych odszkodowań za to oszustwo, chociaż skomplikowane i długotrwałe, w każdym kraju z niezależnym systemem sądownictwa, byłyby z pewnością wygrane. W PiS-owskiej Polsce nie ma całkowitej gwarancji, ale szanse są poważne. Ponadto ta droga również umożliwia odwołanie się do sądów europejskich (o ile „dobra zmiana” nie wyprowadzi nas z Unii). Co ciekawe, koronnymi dowodami w takich sprawach, w sposób oczywisty potwierdzającymi zasadność skarg, byłyby właśnie negatywne

wyroki wydane na podstawie takiego bubla prawnego, jakim jest ustawa dezubekizacyjna.

Autorstwo: Sławomir Sadowski

Źródło: Trybuna.info